

Tam, gdzie nie ma mostów

Od najbliższej asfaltowej drogi, a tym samym od namacalnych przejawów cywilizacji, dzieli mnie 120 km. W porze deszczowej oznacza to nawet tydzień podróży. Brak prądu, brak bieżącej wody. Osobę, która mówi w jakimkolwiek europejskim języku, znaleźć można najszybciej w oddalonym o 22 km mieście powiatowym. Nad zamieszkanymi przez krokodyle nilowe rzekami nie ma mostów. Wyrocznią we wszelkich sprawach społecznych i osobistych (także tych dotyczących zdrowia) jest szaman... Tak w skrócie można opisać Beronono, miasteczko położone w zachodniej części Madagaskaru, które na 3 miesiące przeniosło mnie w czasie o kilka stuleci.

W Beronono nie ma lekarza, dlatego na wieść o moich planach otwarcia tam przychodni miejscowi zareagowali zadowoleniem. Na załatwienie formalności oraz zdobycie lekarstw i sprzętu miałem kilka tygodni, wszystko organizowałem, mieszkając i pracując w powiatowym Mandabe. Gdy nadszedł długo oczekiwany dzień wyjazdu, załadowałem kilka toreb z bagażami na drewniany wóz i w towarzystwie malgaskich woźniców ruszyłem w kilkugodzinną podróż. Na miejscu czekał na mnie budynek nowej przychodni... Przychodnia to rzeczywiście nowa rzecz dla miejscowych, do opisania samego budynku ten epitet jednak nie pasuje. Mała, jednoizbowa chata ze szkieletem z traw i patyków oraz dachem krytym strzechą była moim nowym miejscem pracy.

Jak wyglądał dzień pracy białego człowieka? Normalnie, jak dzień pracy w każdym szpitalu, z tą jedynie różnicą, że tu za wszystkie „oddziały” i wszelkie zabiegi odpowiedzialny był jeden człowiek, borykający się w dodatku z brakiem zaopatrzenia.

Poranek. 7 osób przybyłych z odległej o 15 km wioski narzeka na problemy żołądkowo-jelitowe. Gdy wydałem garść leków każdemu z nich, okazało się, że jeszcze nigdy nie zetknęli się z mydłem. W XXI w. żyją ludzie, którzy nie znają podstawowego środka higieny osobistej. Jasne staje się, że w tym wypadku ważniejsza od terapii lekowej będzie edukacja, co przy niuansach w plemiennej odmianie języka malgaskiego nie przysparza mi uśmiechu.



Południe. Za kilka chwil krótka przerwa na obiad. Miska ryżu z fasolą lub liśćmi pomidorów okraszonymi suszonymi larwami. Jeszcze ostatni pacjent. Somba, dziewczynka z malarią. W trzecim dniu terapii przyszła z mamą po zastrzyk. Problemem jest to, że rano skończyły się strzykawki. Zostały trzy, a pacjentów z malarią siedmioro. Wszyscy muszą dostać lek, więc dożylna droga nie wchodzi w grę. Może by tak *per rectum* po możliwie najdokładniejszej „sterylizacji” pla-

stikowego sprzętu? W końcu na malarię umiera tu niemało ludzi.

Wieczór. Do zamknięcia przychodni jeszcze godzina, a przed momentem młoda kobieta przyniosła na wpół przytomnego syna z ciężką zimnicą. Cóż, przyjdzie spędzić noc w przychodni. Mogę jedynie mieć nadzieję, że będzie to dziś jedyny ciężki przypadek...

JACEK JAROSZ

RATOWNIK MEDYCZNY I PROMOTOR ZDROWIA,
WOLONTARIUSZ FUNDACJI REDEMPTORIS MISSIO

